

Uprawa głodnych i otyłych

2 czerwca 2010

„Jesteś tym, co jesz” – skąd zatem bierze się to, co jemy, od czego zależy i co z nami robi?

PRZYSTAWKA – MIEJSCE I SKALA MAJĄ ZNACZENIE

W tym roku najpierw go nie było i ziemia pękała od suszy, a potem zaszalał w przypadkowy sposób, zatapiając kilka dystryktów w środkowych Indiach i pozbawiając setki tysięcy osób dachu nad głową oraz zbiorów. Ludzie mówią, że od jakichś 10-20 lat monsun jest coraz bardziej nieprzewidywalny.

Jest początek października, prognozy zdają się potwierdzać, że monsun już odchodzi, więc wsiadamy z moją dziewczyną do autobusu i jedziemy w okolice Mysore na południu Subkontynentu. W małym miasteczku, które jest naszym celem, widzę ciężarówki wypełnione po brzegi białą „watą”. Za jakiś czas trafi ona m.in. do Polski, w formie koszulek i spodni – Indie stały się w ostatnich latach głównym producentem bawełny na świecie. To, co widzę, to bawełna Bt, genetycznie zmodyfikowana odmiana produkująca substancję zabijającą insekty. Stanowi ona intelektualną własność Monsanto, korporacji kontrolującej obecnie większość patentów na GMO.

Naszym celem jest jednak grupa rolników uprawiających bawełnę w sposób przyjazny dla środowiska. Odwiedzamy w ciągu dnia kilka gospodarstw, które niedawno przeszły z Bt na ekologiczny sposób uprawy. Ich pola mają zazwyczaj nie więcej niż hektar powierzchni. Wszyscy, z którymi rozmawiamy, są autentycznie zadowoleni z przejścia na „eko”. Podstawowy powód jest bardzo prosty – pomimo tego, że czasem osiągają niższe zbiory, nie płacą za nawozy sztuczne i pestycydy. Ich zysk jest więc zazwyczaj większy, a co jeszcze ważniejsze, nie grozi im najgorsza zmora wsi w Indiach – pętla długów, którą nakreca potrzeba zakupu nowych nasion i pestycydów. Owo zadłużenie

jest głównym powodem samobójstw 17 tysięcy rolników rocznie. Gdy pierwszy raz usłyszałem tę liczbę, byłem przekonany, że to jakaś pomyłka, że chodzi przynajmniej o jedno zero mniej. Być może z powodu skuteczności, a być może z powodu indyjskiej skłonności do symboliki, rolnicy odbierają sobie życie pijąc to, co jest główną przyczyną ich problemów – pestycydy.

Po zadaniu wszystkich pytań zazwyczaj sami stajemy się obiektem przesłuchania. Co uprawia się w waszym kraju? Naprawdę nie macie w ogóle bawełny? Skąd macie nasiona? Jak przechowujecie swoje zbiory? I tak dalej. Nie jest to moja pierwsza wizyta na indyjskiej wsi, więc tym razem jestem lepiej przygotowany i nie wychodzę już na kompletnego ignoranta, ale pomimo to płaczę się w zeznaniach. Ogarnia mnie wątpliwość – jak wytłumaczyć polsko-unijny system dotacji i subsydiów rolnikowi, w którego wsi nie ma traktora, gdzie kobiety zbierające bawełnę dostają dolara za dzień pracy i nikt nie słyszał o ubezpieczeniach na wypadek katastrofy czy choroby. Na większości terytorium Indii rolnik nawet nie wygląda jak „rolnik” – taki, jakiego znamy z Polski. Jest bardzo szczupły, bosy i jeśli tylko jest pewien, że zdoła wyżywić rodzinę – uśmiecha się delikatnie i obdarowuje cię tym, co ma.

Azja była jednym z rejonów świata, gdzie z wielką pompą wprowadzono „Zieloną Rewolucję”. Była to faktycznie rewolucja, choć jej zieloność nie miała nic wspólnego ani z ekologią, ani z jakością żywności, a jedynie z industrializacją rolnictwa. Jej głównymi elementami były nowe nasiona – hybrydy, których nie można oszczędzać na kolejny zasiew, lecz trzeba kupować od producenta, sztuczne nawozy zawierające azot, fosfor i potas, a także pestycydy, które miały chronić przed szkodnikami. System zadziałał – od lat 60. XX zbiory poszły w górę. Jednakże, zgodnie z tym, co przewidywali tacy ludzie, jak sir Albert Howard – pionier rolnictwa ekologicznego, którego podwaliny stworzył przebywając właśnie w Indiach – produkcja w pełnym chemii rolnictwie przemysłowym odbywa się na kredyt, a

ów kredyt jest znacznie bardziej realny niż wszystkie długi systemu finansowego. Zielona Rewolucja w szybkim tempie wyniszczyła dobrą kondycję gleby i różnorodność biologiczną, będące podstawą przetrwania jakiejkolwiek uprawy roli. I dziś nawet rządy nie mogą już ukryć tego, że plony przestały rosnać, a coraz więcej obszarów zaczyna być niezdatnych dla rolnictwa.

Z tego, co słyszę i widzę, przynajmniej w Indiach większość głodujących mieszka na terenach rolniczych. Ludzi żyjących z ziemi jest w tym kraju 650 mln, w Chinach – 800 mln. I tylko niewielka część uprawia ją ekologicznie.

DANIE GŁÓWNE

Quiz – co wspólnego mają ze sobą:

- a) wzrastająca liczba chorych i pęczniejące budżety ochrony zdrowia
- b) zmiany klimatu i niezależność energetyczna
- c) bezpieczeństwo narodowe

Podpowiedź od przyjaciela – nigdy nie słyszałeś na ten temat debaty polityków głównych ugrupowań politycznych w Polsce. W innych krajach jest podobnie.

Prawidłowa odpowiedź: żywność.

Nie tylko w Polsce przedmiotem ostrych sporów są takie kwestie, jak cena cukru, mleka albo żywca. Przedmiotem medialnego szumu są też nowe „odkrycia” dietetyki, które co rok albo dwa donoszą o tym, co powinniśmy jeść, a czego już nie. Od czasu do czasu pojawia się panika przy okazji grypy świńskiej czy ptasiej albo choroby wściekłych krów. Przy czym do savoir-vivre’u polityków i komentatorów należy unikanie łączenia wszystkich tych rzeczy. Musimy „produkować więcej”, żeby „zlikwidować głód”, a najskuteczniejszą drogą do tego celu jest „podniesienie wydajności” (czytaj: monokultura) i

„dostęp do rynków” (czytaj: zniesienie barier dla handlu żywnością). Amen.

No więc założmy najpierw, że zasieję tę monokulturę... Oznacza to, że decyduję się na uprawę jednego typu (tylko bawełna albo tylko pszenica, rok po roku), przez co szybko wyjaławiam glebę. Żeby nadal rodziła w takich warunkach, muszę stosować sztuczny nawóz, co wymaga ogromnych ilości gazu, ropy albo – jak w Chinach – węgla. Moja monokultura opiera się na nasionach, które oprócz sztucznego nawozu wymagają wielkich ilości wody, której poziom się obniża, a do której pompowania również potrzeba energii. Jedzenie, które trafia do naszego żołądka, jest również coraz bardziej przetworzone, a każde stadium tego procesu oznacza więcej transportu i więcej zużytej energii.

Na jedną kalorię, którą pobieramy z pożywienia pochodzącego z przemysłowego rolnictwa, przypada dziś średnio 10 kalorii z paliw kopalnych. Nigdy wcześniej produkcja żywności nie była bardziej marnotrawna i nigdy wcześniej nie była w istocie zakładnikiem przemysłu wydobywania paliw kopalnych. Kiedy wchodzisz do supermarketu czy McDonalda, to – choć tego nie widzisz – jedząc posiłek, jednocześnie konsumujesz ropę oraz produkujesz chmurę gazów cieplarnianych. Chmura ta jest zdecydowanie większa, gdy zamiast „przemysłowego vege” twoja dieta jest „przemysłowo-mięsna” – w tym przypadku kotlet ważący 100 g jest po prostu wielokrotnością tej wagi, wyrażoną w przemysłowej soi czy kukurydzy. Plus hormon wzrostu i antybiotyki – na okrasę.

Ale w końcu owo coś, mające żywność jedynie w nazwie, przechodzi przez mój przewód pokarmowy. Oceniając dzisiejsze jedzenie po reklamach, powinniśmy po jego spożyciu być zdrowi jak 300 Spartan. Dlaczego więc amerykańskie dane pokazują, że pomimo postępu medycyny pokolenie przychodzące teraz na świat będzie miało prawdopodobnie krótsze życie niż ich rodzice? Dlaczego według polskich danych nadwaga (umiarkowana otyłość) występuje u 20-30% dorosłych i ok. 8% dzieci, zaś otyłość

znaczna u 12-15% populacji dorosłych i ok. 5% dzieci? Głównym źródłem nadwagi i chorób, jakie ona za sobą pociąga (od cukrzycy do chorób układu krążenia) nie jest dziś ilość jedzenia, lecz to, co jemy, oraz siedzący tryb życia. Im produkt bardziej przetworzony – im mniej przypomina jedzenie, jakie mógłbyś znaleźć w przepisach prababci – tym bardziej jest bezwartościowy, a czasami zabójczy w powolny sposób. Ale naprawdę istotną dla zdrowia informacją jest to, że z powodu hodowli i upraw nastawionych na odmiany gwarantujące szybki wzrost, nawet nieprzetworzona żywność zawiera dziś mniej składników odżywczych niż ta sama żywność przed kilkoma dekadami. Inaczej mówiąc, żeby zaspokoić zapotrzebowanie ciała na minerały (jak cynk czy żelazo) musisz zjeść więcej chleba, jabłek czy nabiału niż wystarczało twoim rodzicom. Informacja ta wywołała w przemyśle spożywczym prawdziwy entuzjazm...

Dzisiejsza dieta mieszkańca globalnej wioski, niezależnie od tego, czy mieszka w Łodzi, czy w Bombaju, składa się w 50-60% z czterech gatunków – soi, kukurydzy, pszenicy i ryżu. Dotyczy to również „mięsożerców” – zwierzęta hodowlane jedzą paszę, na którą składa się soja albo kukurydza. Rośliny te znajdują się pod różną postacią w większości produktów na sklepowych półkach. Tymczasem historia rodzaju ludzkiego zaświadcza, że na przestrzeni naszego rozwoju konsumowaliśmy niemal 80 tysięcy jadalnych gatunków, z czego 3 tysiące znajdowały się w szerokim użyciu. Dlaczego powinniśmy się tym przejmować? Ponieważ jesteśmy wszystkożercami. Nie oznacza to, że możemy czy powinniśmy zjeść każdy syf, który zostanie ładnie opakowany. Oznacza, że potrzebujemy od 50 do 100 różnych związków i pierwiastków, aby utrzymać nasze zdrowie w normie.

Wracając do mojej monokultury – jej uprawa stanowi odpowiednik wielkiego bankietu dla insektów, które wyewoluowały właśnie po to, żeby posilać się na moim morzu soi, kukurydzy, jabłek albo sałaty. Co robię? Wielokrotne prysznice z pestycydów – często można ich znaleźć więcej niż pięć na jednym owocu. Pestycydy można posegregować na wiele sposobów, ale ja najbardziej lubię

podział na rakotwórcze, uszkodzające system nerwowy, system rozrodczy, system hormonalny. Istnieją substancje służące do zwalczania chwastów, które nawet w minimalnym stężeniu potrafią zmienić samce żab w hermafrodytów.

Oprócz tych, co jedzą, muszą być też ci, którzy produkują, albo raczej – obsikują pestycydami. W supermarkecie, gdzie większość z nas spotyka swoje jedzenie, ich nie widać. Ale na indyjskich albo afrykańskich polach często można zobaczyć bosych ludzi brodzących z kanistrami na plecach, bez żadnych strojów czy masek ochronnych. W Pendżabie, gdzie zaczęła się Zielona Rewolucja w Indiach i gdzie zapuściła najsilniejsze korzenie, można usłyszeć o „Cancer Train” – pociągu przewożącym raz w tygodniu pacjentów chorych na raka z rejonu produkcji żywności do miasta, gdzie znajduje się odpowiedni szpital. W tak zwanym cywilizowanym świecie pola opryskuje się z samolotów, ale i tak odsetek chorych na raka jest dużo wyższy w rejonach oprysku.

Obsikana żywność trafia następnie do fabryk przetwórczych, których rozmiary rosną wszędzie, również w Polsce. Tommy Thompson, jeden z niedawnych amerykańskich ministrów zdrowia, stwierdził, że jedną z największych niespodzianek podczas jego kadencji było to, że nikt nie zaatakował produkcji żywności, choć „to byłoby takie łatwe”. Jedna fabryka hamburgerów może wypłukać 30-40 mln sztuk tygodniowo. Jeśli ktoś chciałby użyć terroru do osiągnięcia jakichkolwiek celów, to skażenie scentralizowanej produkcji żywności jest znacznie skuteczniejsze niż atak bombowy lub detonacja samolotu.

Tania żywność jest tak naprawdę cholernie droga. Dzisiejsza „polityka rolna” stanowi w istocie system subsydiów dla wielkich farm, które zużywają najwięcej paliw, wody i chemii, emitują najwięcej gazów cieplarnianych, uprawiają te rzeczy, które najbardziej przyczyniają się do otyłości i wypychają ludzi z terenów rolniczych do miast.

DESER – DWA WNIOSKI, DWA MODELE

Kilka miesięcy temu odwiedziłem w Rzymie siedzibę FAO – Światowej Organizacji ds. Wyżywienia i Rolnictwa. Pamiętam, iż wychodząc z tego wielkiego budynku myślałem o tym, że przynajmniej od lat 60. FAO oraz wielu przywódców państw obiecywało uporanie się z głodem w ciągu dekady, dwóch, do końca milenium, do 2015 roku... Głównym rozwiązaniem miało być zawsze to samo: „większa produkcja”, która faktycznie się powiększała. Pomimo tego, według danych FAO, na skutek kryzysu żywnościowego w latach 2007-8, liczba ludzi cierpiących z powodu głodu i niedożywienia wzrosła w 2009 r. do 1 miliarda. W tym samym czasie:

- zysk trzech czołowych korporacji kontrolujących 90% handlu zbożami (Cargill, ADM, Bunge) wzrósł o 103%,
- zysk trzech czołowych korporacji produkujących nasiona i pestycydy (Monsanto, Syngenta, DuPont) wzrósł o 91%,
- zysk trzech czołowych producentów nawozów sztucznych (Potash, Mosaic i Yara) wzrósł o 139%.

Liczba osób cierpiących na otyłość wynosi blisko miliard w skali globu. Jakież wnioski?

Jeśli wziąć pod uwagę wypowiedzi FAO, Banku Światowego oraz dzisiejszych przywódców, wnioskiem jest – oczywiście – „nowe technologie i większa produkcja”. Innym słowy, dalsze stawianie na GMO (dla których „nie ma alternatywy”). A także na eksport przemysłowego modelu rolnictwa do kolejnych zakątków świata, tym razem do Afryki, gdzie prym wiodą obecnie Chiny, które kupują ziemię pod uprawę nie tylko w celu wytwarzania żywności dla Społeczeństwa Harmonii, ale także produkcji biopaliw dla jego szybko rosnącej grupy posiadaczy samochodów. A liczba głodnych rośnie wraz z liczbą tych, którzy co roku wypychani są z rolnictwa do szybko rozrastających się slumsów. Wraz z nią rośnie potencjał wybuchu – liczne protesty na ulicach wielu miast świata w 2008 r., gdy ceny podstawowych produktów żywnościowych wzrosły o

kilkadziesiąt procent, były jedynie przymiarką, rozgrzewką. Albert Einstein zdefiniował kiedyś szaleństwo jako robienie wciąż tego samego i oczekiwanie innych rezultatów.

Są jednak tacy, którzy wyciągnęli inne wnioski...

Tego dnia, kiedy odwiedzałem rolników uprawiających bawełnę, trafiłem też do miejsca, gdzie dwoje szalonych ludzi wcieliło w życie nowe podejście do rolnictwa w tym regionie. To miejsce jest inne. Otoczone rzeką i wysokimi, porośniętymi dżunglą wzgórzami, po których buszują słonie. Pracujący tu ludzie poruszają się jakby wolniej. Szukając gospodarzy, widzę jakieś konstrukcje, których zastosowanie mogę tylko zgadywać; widać też więcej prostych maszyn, które świadczą o tym, że przetwórstwo dużej części zbiorów odbywa się na miejscu. W końcu na jednym z małych pól widzę większą grupkę pracujących osób. Ktoś odrywa się od pracy i już za chwilę stoi przede mną obuta w kalosze, szczupła i dziwnie piękna kobieta, która jakoś nie wygląda na Hinduskę. Płynnym angielskim mówi: Czym mogę służyć?

Dwadzieścia kilka lat temu Vivek i Julie, oboje po 21 lat, dobrze wykształceni, ona pół-Amerykanka, zdecydowali się wybrać kawałek ziemi i uczynić go swoim domem. Pomimo tego, że ojciec Julie pracował w FAO, żadne z nich nie miało praktycznej wiedzy rolniczej. Ale byli odważni i mieli marzenie. Choć Indie były właśnie u szczytu Zielonej Rewolucji, ta dwójka uwierzyła, że ziemia może dać im tyle samo albo więcej bez nawozów sztucznych i pestycydów. W ciągu lat nauczyli się, że oszczędność i dzielenie się nasionami, optymalne wykorzystanie odpadów zwierzęcych i roślinnych, dbanie o zdrową współzależność pomiędzy zwierzętami a glebą, oraz przechowywanie żywności na małą skalę – stanowią fundament silnej wspólnoty. Dziś na swoich 12 hektarach produkują własną energię, uprawiają ponad 30 gatunków roślin, przetwarzają je i zaopatrują w żywność ponad 100 rodzin w Mysore i innych miastach.

Słońce powoli zaczyna schodzić w dół i sączymy herbatę, kiedy dołącza do nas Vivek. W sile wieku, z niespotykaną w tej części Indii gęstą brodą, kolczykiem w uchu i błyskającymi oczyma kojarzy mi się z Zeusem. Przed chwilą pakował na przyczepę proso, a teraz tłumaczy, że choć nadwyżka żywności jest statystycznie przyjemną rzeczą, poziom bezpieczeństwa żywnościowego na indyjskiej wsi jest mniejszy niż kiedykolwiek wcześniej, a rolnicy coraz bardziej tracą możliwość przetrwania w „wolnorynkowym” świecie. Pytam go o reformę subsydiów na nawozy sztuczne, które stanowiły największą pozycję w indyjskim budżecie w ubiegłym roku. Nie bardzo wierzy w jej powodzenie – jego doświadczenie potwierdza, że rządy, nawet mając dobre intencje, nie mają woli i determinacji, aby dokonać prawdziwej zmiany.

Razem z Julie zaczęli działać przeciwko GMO już w połowie lat 90., organizowali seminaria i akcje, tymczasem rząd siedział okrakiem na płocie, a w końcu dopuścił uprawy zmodyfikowanej bawełny. Dzięki agresywnej reklamie, zmodyfikowana odmiana zdominowała indyjskie pola, więc aby uniknąć genetycznego zanieczyszczenia swoich zbiorów Julie i Vivek całkowicie porzucili komercyjną uprawę bawełny. Na małym kawałku ziemi uprawiają lokalne odmiany, żeby – jak mówią – „ziarno żyło”, żeby przetrwało. – Bt to prymitywna technologia, choć uchodzi za zaawansowaną. Natura sobie z nią poradzi poprzez bardziej odporne insekty czy coś innego, tak jak robiła to wcześniej. Nie wiem, czy to się stanie za 2, czy za 5 lat, ale kiedy to się stanie, wszyscy będą szukać odmian, która nie mają nic wspólnego z GMO i które najlepiej pasują do tego klimatu i do tej gleby – mówi Vivek. W 2008 r. 400 naukowców opublikowało pod egidą ONZ najbardziej przekrojowy raport na temat stanu rolnictwa i jego przyszłości. Większość rządów i mediów nie poświęciła mu żadnej uwagi. Te 2000 stron mówi o tym, że ratunek leży nie w GMO, lecz w czymś podobnym do tego, co widzę w tym małym indyjskim gospodarstwie.

Julie przedstawia nam najstarszego syna. Przystojny i też nie

wygląda zbyt indyjsko w kapeluszu z szerokim rondem. Rozmawiam z nim krótko i dowiaduję się, że jakiś czas temu, mając lat 17, opuścił rodzinne gospodarstwo, aby poznać tajniki rolnictwa biodynamicznego. Te nieznane mi konstrukcje to właśnie ślady jego pracy, wprowadzającej jeszcze bardziej ekologiczny model uprawy ziemi. Pytam, gdzie studiuje, a moje pytanie wywołuje gromki śmiech całej rodziny. Julie tłumaczy mi, że ani on, ani jego brat nigdy nie chodzili do żadnej szkoły – ich edukacja to ta ziemia, rodzice, ich znajomi, okoliczni mieszkańcy, książki i Internet.

Rozmawiamy jeszcze trochę o nowych projektach, pączkujących w różnych miejscach Indii i Ziemi – o rolnictwie miejskim (w ramach którego uprawiane są nieużytki w ekologiczny, ale jednocześnie wyjątkowo efektywny sposób); o „rolnictwie wspieranym przez społeczność” – gdzie my, konsumenci, kupujemy na początku sezonu „udział” w zbiorach rolnika, dając mu pewność utrzymania i uzyskując w zamian żywność ze znanego i bezpiecznego źródła; o sukcesach w omijaniu pośredników i dostarczaniu żywności bezpośrednio do konsumenta, który ma dzięki temu szansę dowiedzieć się więcej o tym, skąd pochodzą jego jajka czy pomidory i może uścisnąć rękę, która go karmi; o posiłkach szkolnych i tych miejscach, gdzie dzieci mają szansę zobaczyć swoje jedzenie nie tylko w przetworzonej i szczelnie zapakowanej formie, ale czerpią radość z brania udziału w uprawie warzyw czy owoców.

Kiedy przedzieram się jeepem do asfaltu, dopadają mnie dwie myśli. Pierwsza – że nadal zadziwia mnie to, jak wielu wykształconych ludzi bez mrugnięcia okiem wyda pieniądze na nowy model samochodu, telewizora czy komputera, ale krzyczy „drogie!”, gdy ktoś proponuje im dobrą żywność, od której zależy zdrowie ich samych, ich dzieci, ich środowiska. Druga – że wiem już, gdzie chciałbym się znaleźć, gdy ten sztucznie rozdęty twór, zwany globalną gospodarką, ostatecznie wjedzie na równię pochyłą, ciągnąc za sobą to nakręcane pustymi kaloriami globalne agropolis.

Autor: Maciej Muskat

Zdjęcie z Flickr: [Corie Howell](#)

Źródło: [Obywatel](#)